



**HELENA
SEKUŁA**

**KIELISZEK
BORDEAUX**



Helena Sekuła

KIELISZEK BORDEAUX

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-31-9

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

I. LAWINA Z ŻABIEGO

Gasł dzień. Uwięzione lodem jezioro było już mało widoczne w szybko gęstniejącym mroku. Wielka cisza leżała nad Tatrami, nad budynkiem schroniska, dźwigającym na spadzistym dachu puszystą czapę śniegu.

Potem runął halny. Podniosła się biała kurzawa wściekle pędzona przez wiatr. Tumany śniegowego pyłu biły o ściany, skrzypiały wiązania budynku.

W ciemnawej, ciepłej jadalni schroniska podawano kolację. Brzeg długiego stołu obsiadło rzędem pięć osób. Panowało milczenie. Ludzie w skupieniu przysłuchiwali się wyciu halnego, jak budzącej grozę muzyce. Przyjemnie było siedzieć w przytulnej i bezpiecznej jadalni schroniska. Na gorących piecach schły skafandry, rękawiczki. Z kuchni płynął zapach smażonego mięsa.

Tupiąc podkutymi butami, wszedł do jadalni kierownik schroniska. Ściągnął kurtkę, otrzepał z niej śnieg, wytarł mokrą twarz. Przez chwilę grzał przy piecu zaczerwienione dłonie.

Kelnerka wniosła tacę. Ustawiała na stole dymiące talerze. Dudniąc po schodach butami, zbiegli do jadalni ratownicy pogotowia tatrzańskiego, miejscowy lekarz, zarządzająca kuchnią i jeszcze kilka osób personelu.

– Witam miłych gości – uśmiechnął się kierownik do siedzących przy stole. – Ale nie możemy przyjąć chlebem i solą. Od sześciu tygodni nie widzieliśmy chleba. Zaspły.

– Pługi śnieżne mijałem tuż za Zakopanem – odezwał się jeden z przybyłych... – Teraz ten halny... Nieprędko was odkopią...

– Ja mam suchary! – ktoś wyciągnął z plecaka pudełko z sucharami i podsuwał ludziom ze schroniska. – Bardzo proszę – zachęcał. – Dzisiaj rano wyjechałem z Zakopanego, więc nie tęsknię jeszcze do pieczywa. Proszę!

Wyciągnęło się kilka rąk – pudełko opustoszało.

– Dziękuję w imieniu załogi – roześmiał się kierownik. – Ostatnio jedliśmy chleb pożyczony od Krzeptowskiej z Roztoki, ale teraz i ona nie ma. Brakuje pieczywa nawet na Łysej Polanie. Dopóki pługi nie przetrą trasy, jesteśmy zdani tylko na własne zapasy żywności.

Poprzez wycie wiatru przedarł się daleki szum, potężniał, narastał w łoskot powtarzany przez echo. Zdawało się, że złowrogi grzmot toczy się po zboczach gór otaczających kotlinę Morskiego Oka. Jeszcze chwila, a zmiecie schronisko z powierzchni ziemi.

W jadalni zaległa cisza – ludzie z napięciem słuchali groźnej mowy gór. Kilka par oczu spoczęło na twarzach górali.

– Poszła pyłówka, chyba z Żabiego – przerwał milczenie jeden z ratowników pogotowia tatrzańskiego. – Nam nic nie grozi, to tylko echo – uśmiechnął się na widok zaniepokojonych twarzy.

– Nie życzę nikomu być teraz na Żabim – wzdrygnęła się kobieta w białym golfie.

– Moje dziecko – zwróciła się zarządzająca do kelnerki – idź, zapytaj pani spod piętnastki czy podać jej kolację na górę, a może zechce zejść do nas?

– Nie jesteśmy pierwszymi gośćmi? – zdziwił się mężczyzna, który częstował sucharami.

– Pierwsza przyszła pani, która mieszka pod piętnastką – wyjaśnił kierownik – a zaraz po niej druga niewiasta, są u nas trzy dni.

– A ta druga pani nie zejdzie na kolację? – dowiadywała się kobieta w białym swetrze.

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. Do jadalni weszła kelnerka, a razem z nią szczupła brunetka w okularach.

– Gościówny spod piętnastki nie ma – zawiadomiła dziewczyna. – Ale ta pani mówi... – wskazała brunetkę.

– Pani Vessal pojechała na dół – skinęła głową brunetka. – Mówiła, że ewentualnie przenocuje w Roztoce i wróci jutro rano.

– Kiedy pojechała? – zmarszczył brwi kierownik.

– Przed zachodem słońca. Wracalam ze spaceru, minęłyśmy się pod schroniskiem. Trochę byłam zdziwiona, że wybiera się o tej porze na dół.

– Dlaczego jej pani nie zatrzymała?

– Ależ panie kierowniku – wzruszyła ramionami kobieta. – Przecież to dorosła osoba... Była uprzedzona, że może być halny.

Kierownik bez słowa wstał od stołu i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

– Bardzo źle, że pani nie zawiadomiła natychmiast o tym kogoś z nas – odezwał się ratownik pogotowia. – Tak nie można... – urwał w pół zdania, wymówka zabrzmiała bardzo ostro.

– Ależ ja nie sądziłam, że nikt z państwa o tym nie wie – broniła się speszona kobieta. – Nie mogłam zatrzymać tej pani, ja jej wcale nie znam... Była taka nieprzystępna, cały czas izolowała się, mimo że byłyśmy tylko dwie w schronisku... nie miałam odwagi narzucać jej swego towarzystwa ani swoich rad...

– Nie sądzi pan, że stało się nieszczyćście? – wtrąciła kobieta w białym golfie.

– Miejmy nadzieję, że nie – mruknął niechętnie ratownik. Odsunął z hałasem krzesło i poszedł do pokoju, do którego przed chwilą wszedł kierownik.

Przy stole zapanowała przykra konsternacja.

– Zaraz porozumiemy się z Krzeptowską i wszystko będzie dobrze – łagodził lekarz.

Przez uchylone drzwi słyhać było szum aparatu nadawczo-odbiorczego.

– Tu schronisko Morskie Oko w Tatrach! – wywoływał kierownik. – Proszę schronisko w Roztoce! – Po chwili powtórzył wezwanie.

Poprzez trzaski w nadajniku przedarł się zniekształcony kobiecy głos:

– Przy aparacie Krzeptowska z Roztoki, słucham?!... Nie, doktor Moniki Vessal nie było w Roztoce...

Kierownik wywoływał następne schronisko. Ratownicy porozumieli się wzrokiem. Nie czekając na odpowiedź wyszli z jadalni, zadudniły schody pod ich podkutymi butami. Obsługa schroniska zgrupowała się w pokoju kierownika. Goście – cztery kobiety i dwóch mężczyzn – pozostali w jadalni nasłuchując wiadomości płynących z nadajnika.

– Tu schronisko Morskie Oko w Tatrach!

Poprzez szum i trzask przedzierał się następny głos.

– ... nie, nie było...

– Boże, Boże! – brunetka ścisnęła dłońmi skronie.

Znów zadudniły schody – zeszli ratownicy gotowi do wymarszu.

– Bari! – zawołał półgłosem jeden z nich.

Z najdalszego kąta jadalni wyszedł, przeciągając się, wielki, łaciaty bernardyn. Ziewnął, utkwiał rozumnie pytające spojrzenie w twarzy pana.

– Nie ma jej nigdzie – podszedł do nich zaszepiony kierownik. Ściany schroniska wściekle atakował halny.

– Trzeba szukać – mruknął ratownik. – Zawiadam chłopaków od Krzeptowskiej niech wyjdą naprzeciw. Jeżeli zabrała ją ta pyłówka... – zawiesił głos, nasłuchiwał przez chwilę wycia wiatru. – Idziemy! – energicznie ruszył do drzwi.

Obaj mężczyźni, którzy dzisiaj przyszedli do schroniska, spieszenie naciągnęli skafandry.

– Idziemy z wami, panowie!

Ratownik, pan Bariego, odwrócił głowę.

– Nie – powiedział ostro. – Proszę nie ruszać się ze schroniska.

– Chcemy wam pomóc – tłumaczył mężczyzna, który częstował sucharami.

– Wszystko co możecie zrobić, to nie przeszkadzać nam – powiedział ratownik.

Trzasnęły drzwi – pochłonęła ich biała kurzawa.

Obaj mężczyźni stali przez chwilę zdezorientowani – było im głupio.

– Proszę państwa – powiedział bardzo surowo kierownik – nie pozwalam nikomu, aż do odwołania, opuszczać schroniska. Ja odpowiadam za bezpieczeństwo gości – dodał nieco łagodniej.

– Sądzi pan, że panią Vessal zasypała lawina? – kobieta w białym swetrze patrzyła okrągłymi ze strachu oczyma.

– To bardzo prawdopodobne – skinął głową kierownik. – Ale co w taką pogodę, i do tego nocą, poradzą ratownicy? Przecież to szaleństwo, oni się narażają przez jakąś nieodpowiedzialną idiotkę! – zawołał z nagłą złością.

– Większość ludzi, dla których się narażają ratownicy, postępuje bardzo lekkomyślnie – westchnął kierownik.

Popłynęły leniwie minuty, a później godziny nerwowego oczekiwania. W schronisku nikt nie położył się spać.

Po dwóch długich jak wieczność godzinach wrócił jeden z ratowników, przybiegł z nim nieodłączny Bari. Pies był podniecony, nerwowy, unurzany w śniegu.

– Trzeba kopać. – powiedział do kierownika. – Ona jest pod śniegiem.

Ludzie ze schroniska, którzy zgromadzili się w jadalni po wejściu ratownika, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, rozbiegli się po budynku.

– ... duża pyłówka poszła chyba jednak z Żabiego, zniosła trochę drzew, zatrzymała się o wysokopienny las nad Rybim Potokiem. Zawiadom Roztokę i schronisko w Pięciu Stawach. Niech przyślą ludzi, sami nie damy rady.

Kierownik natychmiast porozumiał się z sąsiednimi schroniskami.

– Zaraz wychodzą – zawiadomił ratownika. – Jeżeli chcecie pomóc, panowie, to proszę z nami – zwrócił się do turystów, którzy w milczeniu przysłuchiwali się rozmowie.

Mężczyźni zaczęli pospiesznie naciągać skafandry.

– Nie bierzcie nart – zastrzegł ratownik – dostaniecie raki.

– Którędy ona szła, skąd wzięła się pod Żabim? – zdziwił się jeden z turystów.

– Przestraszyła się halnego i prawdopodobnie chciała wracać, poszła skrótami i zabłądziła.

Ludzie gotowi do wymarszu gromadzili się na dole.

– Wiązać linę – rozkazał ratownik.

Wychodzili gęsiego, obwieszeni sprzętem ratowniczym, przewiązani w pół jedną wspólną liną.

Na dworze uderzyły w nich skłębione tumany białej kurniawy. Targały wściekle ludźmi, podcinały nogi, każdy krok był walką i małym zwycięstwem. Śnieg zalepiał oczy, tamował oddech. Niepodobieństwem wydawało się dostać do Rybiego Potoku. Na odległość pół metra poza białą ścianą śniegowego pyłu nie było widać nic. Mimo raków, nogi zapadały się i grzęzły w zwałach sypkiego puchu. Tylko opasująca lina przypominała o obecności innych, dodawała otuchy, że człowiek nie jest sam.

Dwaj turyści idący w środku pochodu rozpaczliwie walcząc z wiatrem, brodząc w śniegu, śmiertelnie umęczeni wędrówką, stracili nadzieję na skuteczność ratunku. Zmuszała ich do stawiania następnego kroku energia towarzyszy – surowych ludzi gór – i opasująca lina.

Pochód prowadził ratownik, poprzedzany przez psa. Bernardyn szedł nieomylnie sobie tylko znanym tropem.

Nad Rybim Potokiem ratownicy ryli zwały śniegu.

Gdy nadciągnęła załoga Morskiego Oka, mocowali się z odkopanym właśnie zwalonym świerkiem. Dwa reflektory pędzone energią z przenośnych baterii zakreślały wątlutkie kręgi

światła słabo rozświetlając biały mrok. Każdy z ratujących miał przymocowaną na piersi silną latarkę elektryczną. Pracujący blisko siebie ludzie wyglądali jak rój błędnych ogników.

Niebawem z białej ściany wynurzył się sznureczek bladych świetlików – to przyszli ludzie z Roztoki, a po jakimś czasie stawiała się ekipa ze schroniska w Pięciu Stawach, najbardziej oddalonego od miejsca katastrofy.

Teraz akcja ratownicza ruszyła szybciej. Nieocenioną pomocą był Bari. Na rozkaz pana bernardyn z nosem przy ziemi uporczywie darł pazurami sypki śnieg. Było to wskazówką dla poszukujących, że rozkopują śnieg w najwłaściwszym miejscu, że tędy najbliżej do zasypanego człowieka. Wierzyli w niezawodny zmysł psa. Zresztą za ratowanie ludzi wśród górskich pułapek – otrzymał on honorową odznakę Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratowniczego.

Ludzie posłuszni instynktowi zwierzęcia odwalali zwały śniegu we wskazanym przez niego miejscu. Rozkopanie całej lawiny, tysięcy ton śniegu, było niepodobieństwem.

Pies i tym razem nie zawiódł. Na głębokości pięciu metrów znaleziono kawałek złamanej narty. Ludzie zwiększyli wysiłek. Znowu przeszkodził pień zwalonego drzewa, a tuż pod nim następnego. Wsparte o siebie drzewa utworzyły rodzaj sklepienia. Tuż spod nich wystawał czub narty i nienaturalnie wykręcona ręka przygnieciona ciężką gałęzią zwalonego świerku. Wśród splątanych gałęzi, kurczowo zaciskając w zdrowej dłoni ułamany kijek do nart, leżała kobieta.

Wyniesiona ze śniegowego dołu, leciała przez ręce. Nie dawała znaku życia. Kurczowo zwarte zęby trzeba było podważać. Łyk alkoholu wlany do ust spłynął po policzku – nie przełknęła. Pomogło sztuczne oddychanie – kobieta żyła.

Świtało, gdy ułożono ją na toboganie pod futrzaną derką. Kawalkada śmiertelnie znużonych ludzi pociągnęła w stronę Morskiego Oka – to schronisko leżało najbliżej od miejsca wypadku. Halny nie ustawał – przybierał na sile. Ratownicy zawzięcie walczyli, by nie przewrócił toboganu. Krok za krokiem zdobywano białą przestrzeń. Mimo zmęczenia, ludzie wracali zadowoleni. Ich wysiłek nie poszedł na marne – z pomocą zdążyli na czas.

W schronisku gospodarzyła kucharka – jedyna osoba z załogi, która pozostała na miejscu – i turyści przybyłe poprzedniego dnia.

Surowe warunki przyrody, niebezpieczeństwo i budząca szacunek solidarność górali w niesieniu pomocy, zbliżyły tych nieznanych sobie ludzi. Kobiety z dolin krążyły między kuchnią a jadalnią, nosiły parujące kubki z kawą, podsycaly ogień na paleniskach, pomagały ściągać przemoczzone ubrania. W ciepłe buchających żarem pieców, ludzi zwałało zmęczenie.

Moniką Vessal zajął się lekarz. Była na wpół uduszona i miała złamaną rękę.

– Miała szczęście, że to pyłówka – powiedział ratownik z pogotowia tatrzańskiego.

Kierownik walcząc z sennością, popijał parującą, czarną jak smoła kawę i nie odstępował aparatu nadawczo-odbiorczego. Linia telefoniczna dawno była nieczynna, zerwało ją gdzieś zwalone drzewo.

Ranną należało przetransportować do szpitala w Zakopanem. Ale czym? O tym, żeby dotarła tu sanitarka, na razie nie można było marzyć. Porozumiał się ze strażnicą WOP pod Wantą, a później z Łysą Polaną. Odpowiedź była taka, jaką przewidywał – transport sankami, do tego rannego człowieka, był niemożliwy ze względu na zaspę.

Bez nadziei łączył się z Zakopanem o przysłanie sanitarnego helikoptera. W tych warunkach atmosferycznych helikopter nie mógł wystartować. Dopóki nie przejdzie halny, Monika Vessal musiała pozostać w schronisku nad Morskim Okiem.

Lekarz był dobrej myśli, miał najpotrzebniejsze lekarstwa, a nawet fachową pomoc. Jedną z turystek, kobieta w białym swetrze, też była lekarzem. Nie zwlekając, założyli gips na złamaną rękę chorej. Nie było aparatu Roentgena. Gips zakładali na ślepo. W najgorszym wypadku, w szpitalu założą na nowo.

Po trzech dniach, tak samo nagle jak zaczął dąć, halny ustał. Wypogodziło się. Wspaniałe słońce wynurzyło się zza zębatego masywu Rysów. Oślepiła biel śniegu.

Z Zakopanego przyleciał helikopter, zatoczył kilka kręgów nad schroniskiem i siadł lekko w jego pobliżu. Miejscowy lekarz odetchnął. Z panią Vessal działo się bowiem coś niedobrego. Nie odzyskała przytomności. W schronisku nie było warunków dla zbadania przyczyny silnej temperatury. Chorą przeniesiono do helikoptera.

W szpitalu Monika Vessal nadal miotła się w silnej gorączce. Lekarze aplikowali antybiotyki, przeprowadzano różne analizy – temperatura nie ustępowała.

Piękne dłonie kobiety błędziły po kołdrze, palce wykonywały szybkie, delikatne ruchy. Odnosiło się wrażenie, że Monika z wielką czułością gładzi kogoś po głowie. W nocy gwałtownie zrywała się z posłania krzycząc:

– Igor!

Później już to męskie imię nie schodziło jej z ust, powtarzała je z uporem, w tonie jej raz brzmiała czułość, to znów radość, wyrzut, złość, żal lub rezygnacja. Ale zawsze było tylko to jedno słowo: męskie imię.

Domagała się Igora, bez przerwy całą noc. Nad ranem usnęła niespokojnym pełnym majaków snem. Odpychała coś od siebie gwałtownie, rozwartymi ustami chwytła powietrze, osłaniała głowę z nagłym przerażeniem.

Pielęgniarka czuwająca przy niej pomyślała, że Monika przeżywa po raz drugi zasypanie przez lawinę.

Monika uniosła głowę, wpatrywała się nieprzytomnie w pielęgniarkę; pionowa zmarszczka przecięła jej czoło, zadrgały mięśnie zaciśniętych szczęk. Z wysiłkiem bardzo wolno wycedziła przez zęby:

– Igor, za to można z a b i ć! Zabić! – powtórzyła.

Wyczerpana opadła na posłanie. Twarz jej wypogodziła się. Chora uspokojona przymknęła powieki i znowu zapadła w swój niespokojny sen.

Po południu po raz pierwszy odzyskała przytomność.

– Jak się pani czuje? – zagadnął ją lekarz.

– Znośnie – uśmiechnęła się lekko samymi tylko wargami. – Zdaje się, że majaczyłam?
– spojrzęła pytająco.

Skinął głową.

– Proszę pani, kogo mam zawiadomić o wypadku?

Przymknęła powieki, dwie bruzdy zarysowały się koło ust. Milczała.

Teraz wygląda staro – pomyślał lekarz – więcej niż na swoje trzydzieści sześć lat.

– Depeszowaliśmy wczoraj do Warszawy – usprawiedliwił się doktor – na pani adres, ale depeszy nikt nie odebrał... wróciła.

– Mieszkam sama.

– Więc... – zaczął lekarz.

– Nie, nikogo – przerwała zniecierpliwiona. – Widzi pan, tak się złożyło, że nie mam kogo zawiadomić.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI